

DRUKARNIA „POLONIA”
BIAŁYSTOK
ul. Kilińskiego 9, tel. 10-61.

Rok V. Maj—Czerwiec—Wrzesień 1929 r. № 4.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku.

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|--|---------------|
| 1. Od Redakcji | Z. W. |
| 2. O rzekomej bałwochwalstwie słów kilka | E. Sałata. |
| 3. Artykuł dyskusyjny | W. Dudziński. |
| 4. Towarzystwo książki | L. Mazurowska |
| 5. Bez ufności i zapału nie masz ideału | I. Leśna. |
| 6. Coś niecoś o L. O. P. P. | |
| 7. Powitanie lasu | Z. R. |
| 8. Z naszej smutnej wsi | H. Łotowska. |
| 9. Z wycieczki do zamku | W. Dudziński. |
| 10. Podśluchane | I. Leśna. |
| 11. Pogrzeb Nieznajomego | H. Ł. |
| 12. Sprawozdanie z wycieczki do Wigier. | |
| 13. Kronika z wycieczki do Wigier. | |
| Humor i Satyra: | |
| 14. Echa z przedstawienia | W. Dudziński. |
| 15. Kronika | |
| 16. Odpowiedzi Redakcji. | |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor: W. Dudziński.

Wiceredaktor: H. Łotowska.

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku.

DO P. PRENUMERATORÓW.

Administracja uprasza o bezwzględne wpłacenie prenumeraty za ubiegłe numery, gdyż będzie zmuszona przerwać wysyłanie pisma zalegającym.

Administracja.

Piszmy do „Młodej Myśli“.

Były czasy, a może i obecnie trwa ten stan rzeczy, że pismo nasze „nieraz przymierało z głodu czasem“, innym razem znajdowało się w lepszych warunkach; bywało rozmaicie. Zdawałoby się, że gazetka nasza „powinna być odbiciem naszego życia szkolnego, winna być tem — co łączy dusze nasze.

Choć tak powinno być, ale w zupełności tak nie jest, gdyż ze strony „Szanownych Koleżenek i Kolegów” daje się odczuwać wyraźny brak współpracy.

Wszyscy się oglądają tylko na Redakcję, ależ nareszcie i u członków redakcji repertuar może się wyczerpać, mając taki stan rzeczy, należałoby naszą gazetkę zamknąć. Więc, aby tego uniknąć powinniście i Wy pracować z nami, powinniście się nieco żywiej zająć swoim pismem.

Często jestem świadkiem, że teka redakcyjna świeci pustką, mało jest wyjątków, że wpadnie do niej jakiś wierszyk, czy artykułik, ba, ale to już wtedy wielkie święto!

Z tego wynika, że oprócz tej pracy, jaką redakcja ma ze względu na swój charakter, podkreślam poraz drugi, że na barki jej wkładacie obowiązek całkowitego wypełniania numeru.

Rozpoczynając jednak pracę teraz, kiedy wszyscy po wakacjach są wypoczęci, myślę, że gazetka będzie się rozwijała pomyślniej, a przynajmniej będzie mogła wychodzić regularnie (a nie raz na trzy miesiące). By stworzyć takie warunki, niedość jest pracy kilku członków redakcji, którzy nie chcąc zaniedbywać swoich lekcyj, nie mogą podołać nawałowi pracy. A zresztą redakcja nie stanowi ogółu młodzieży.

Sądzę, że pod tym względem będzie lepiej.

„Młoda Myśl” musi stać się dorobkiem, w którą — byśmy włożyli swe uczucia i myśli.

Musimy śmiało rzec:

„Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię!”

Z. W.

O rzekomem bałwochwalstwie słów kilka.

Badania naukowe nad kulturą grecką, wielce w ostatnich czasach, posunięte naprzód, zbliżyły nas do tych mrokiem wieków pokrytych, słonecznych czasów niepodległej Grecji, odsłoniły nowe oblicze Nieśmiertelnego Ducha Helady!

Na polu filologii i religjologii klasycznej Tadeusz Zieliński, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, zyskał przez swe studia, sławę niepomierłą w świecie uczonych polskich i cudzoziemców. Dla ogółu jest on, niestety, prawie że nieznanym, a to dzięki obojętności, brakowi zainteresowania się sprawami poważniejszymi, naukowymi, które stanowią jedną z przyczyn tego przerażającego stanu polskich wydawnictw naukowych, a rozpanoszenia się taniej wulgarnej powieści.

Dzieła prof. Zielińskiego przedstawiły zagadnienie religji greckiej w całkiem nowym świetle i usunęły wiele błęd-

nych mniemań i uprzedzeń, opartych z jednej strony na stanowisku „stronniczości” wyznaniowej, z drugiej zaś na zupełnej ignoracji przedmiotu.

Jako przykład wezmę pod uwagę t. zw. bałwochwalstwa religji greckiej. Zdawałoby się, że rzecz ta dawna już jest przesądzona, że Grecy mieli liczne bałwany, stawiali im świątynie, składali ofiary, oddawali cześć. Pogląd ten, przyczynił się do wiekowej pogardy religji greckiej i stawiania jej o wiele niżej, pod tym względem od religji żydowskiej, gdzie wszelka myśl obrazowania bóstwa, była jak wiemy, przez Mojżesza i innych przywódców narodu surowymi karami już w powijkach gnieciona, co jednak, mówiąc nawiasem, nie zawsze odnosiło oczekiwany skutek.

A jednak to był pogląd niesłuszny, mylono się na tym punkcie bardzo.

Już na pierwszy rzut oka nasuwają się wątpliwości. Jakżesz myśl bałwochwalstwa, którą spotykamy zwykle u ludów na niskim stopniu cywilizacji, u narodów pierwotnych, ma istnieć w Grecji, w kraju o tak wysokiej kulturze?

Jakoż owe posągi, wspaniałe dzieła artystów np. „Zeus” Fidjasza, to w pojmowaniu greckim nie sami bogowie, lecz jeno ich wyobrażenia, zaledwie słaby odbłask doskonałego, boskiego Piękna. Że odróżniano wyobrażenia bóstwa od niego samego, dowodzi fakt, iż podczas przedstawienia „Onestei” Aischylosa, bohater obejmuje posąg Pallady, zaś w dalszym ciągu tragedji zstępuje do niego sama Pallada. W epoce Homerowskiej, plastyczna sztuka religijna jeszcze się nie narodziła, świątyni, ani posągów nie było, mimo to bóstwa żyły z ludźmi w bliskiej styczności. Pewien rys bałwochwalstwa w mierze gminnej jest zjawiskiem powszechnym, spotykam w wszelkich religjach nawet o tak wysokich inspiracjach, jak religja mieszkańców z nad Gangesu (kult posagu Buddy), jak nawet nasza religja katolicka (kult obrazów), nie należy przeto wyciągać wyjątkowych wniosków co do Greków i nie może to być plamą dla religji greckiej jako takiej, nietylko „maluczkich” ale i „wielkich”.

Posąg, kiedy wyszedł z pod dłuta rzeźbiarza, był uważany za martwą bryłę kamienną, i dopiero po wielkich uroczystościach konsekuracyjnych, stawał się przedmiotem czci i wyobrażeniem Bóstwa, wyobrażeniem, a nie samem Bóstwem, gdyż Apollon osłaniający Hektara, Atena rozpalająca męstwem serce Diomedesa, to nie są nieme posągi z pod marmurowego sklepienia, lecz oni, władcy świata i ludzi, któ-

rych siedzibą podobłoczny szczyt Olimpu z tronem dla „najwyższego” Zeusa.

Składanie ofiar i ich całopalenie przed posągami, bynajmniej, nie dowodzą bałwochwalstwa, gdyż po pierwsze, miały one charakter symboliczny, spalano bowiem tylko część ofiary a resztę wspólnie zjadano i uczta wchodziła w skład uroczystości ofiarnych, po drugie—mają one miejsce i gdzieindziej np. u Izraela, gdzie odbywała się formalna rzeźnia zwierząt. Bertholet wyrachował np. że na jedno tylko obowiązkowe gminne ofiary niszczone rocznie 1275 sztuk „czystych” zwierząt, co powodowało słuszne głosy oburzenia ze strony Greków.

Także i antropomorfizm czyli przypisywanie bogom cech ludzkich nie świadczyłby na korzyść bałwochwalstwa.

Występowanie jego w wierze gminnej jest zjawiskiem powszechnym, spotykamy się z nim tak wyraźnie w mitytach i podaniach, wspaniałym na to przykładem epopeja homerowska, co w dziedzinie sztuki jest zupełnie dozwolone.

Że we właściwej religii greckiej nie ma antropomorfizmu, o tem mówi, daleka od tego, religijna myśl filozoficzna Ksenofantesa, Parmenidesa, jego ucznia Sokratesa i Epikura.

To wszystko tymczasem.

Za charakterystyczną ilustrację powyższych wywodów może posłużyć ustęp z powieści D. Mereżkowskiego „Juljan Apostata”; mianowicie słowa samego cesarza: „My niewielbiamy ani martwego głazu, ani miedzi, lub kamienia, ale ducha, żywego ducha piękna w naszych posągach bogów, wzorach najczystszej boskiej piękności”.

Na zakończenie jedna uwaga. Nie chciałbym być tu rozumianym jako zabieracz głosu może w sprawach religijnych naszych, chciałem się tylko przyczynić do jakiegoś ożywienia naszej atmosfery intelektualnej, rozszerzenia jej granic poza obręb wiadomości podręcznikowych, i ot przy takim nastawieniu psychicznem nasunął mi się ten temat.

E. Sałata.

Artykuł dyskusyjny.

Stan szkolnictwa na wschodnich kresach Polski nie jest jeszcze doskonałym, tak, że wiele czasu upłynie i wiele jeszcze wysiłków i pracy trzeba będzie wyłożyć, zanim szkolnictwo (zwłaszcza powszechne) nabierze charakteru

szkolnictwa zachodnio-polskiego, choć i tam swego rodzaju usterki się spotykają. Zanim jednak de tego przyjdzie, należy pracę prowadzić w warunkach, na jakie stać, i zadawać się tem, co mamy, własnym pomysłem (o ile jest dobry) udoskonalając to, co jest mniej doskonałe. Chodzi mi tu zwłaszcza o szkoły wiejskie naszych kresów. W szkołach wyżej wymienionych, jeżeli chodzi o nauczanie takich przedmiotów, jak język polski, rachunki, śpiew i t. p., to niema z tem wielkich kłopotów, ale jeżeli idzie o nauczanie przedmiotów, które wymagają, czy to odpowiedniego miejsca, czy też pewnych narzędzi—rzecz jest nieco trudniejsza. Przedmiotami takimi są przedewszystkiem: ćwiczenia ruchowe i roboty ręczne (slöjd). Oba te przedmioty właśnie ze względu na warunki, w jakich szkoła powszechna wiejska prze-ważnie się znajduje, są traktowane prawie po macoszemu. Zastępuje się je innemi przedmiotami, czyniąc tem oczywiście szkodę dziecku, tak pod względem fizycznym (gimnastyka), jak i moralnym (zaniedbywanie wpajania w dziecko zamiłowania dla pracy). Jak zapobiec złemu?

Jest to pytanie, które już z niejednych ust wyszło i różne były na nie odpowiedzi. Większość odpowiedzi brzmiała: zdobyć pieniądze!

Oczywiście, odpowiedź prawie że najlepsza, lecz rzecz jest do wykonania o tyle trudna, że niewiadomo skąd je zdobyć. Nadzór szkolny, rada, czy magistraty robią dla szkoły, co mogą, lecz trzeba pamiętać, że te instytucje mają również i inne cele, do których urzeczywistnienia — pieniądz, jako środek, będzie potrzebny i dlatego też, jeżeli udzielią szkole jakiegokolwiek subsydjum, subsydjum będzie niewielkie i wszelkich potrzeb szkoły nie zaspokoi, tak że nauczyciel zawsze będzie musiał się uciekać do własnych pomysłów i zastanawiać się, w jaki sposób załatwić rzecz, by i on miał z tego pewne zadowolenie. a co najważniejsze, by dziecko nie zostało skrzywdzone.

W tym artykule mam poruszyć kwestję urządzenia (nakładem dość minimalnych kosztów) sali, że tak się wyrażę, do robót ręcznych, oraz zdobycia jakich takich narzędzi, by przy pomocy nich—dzieci starsze szkoły powszechnej wiejskiej, szkoły nie posiadającej sali odpowiedniej do zajęć, mogły coś pożytecznego wykonywać. Stykając się z ludem wiejskim dość często, zauważyłem również i to, że **każdy z gospodarzy** ma pewien zasób (niektórzy mało) narzędzi rzemieślniczych, które w życiu wiejskiem są potrzebne do użytku domowego. A więc są tacy, którzy posiadają i jakieś

dłuto i strug i świder, lub nawet wiertarki ręczne, są tacy, którzy mają po kilka toporków, piły większe i ręczne, tak, że gdyby w jakiś sposób można było to wszystko zebrać do jednego miejsca, przypuśćmy do jakiejś sali, wspaniałą moglibyśmy mieć slōjdownię z narzędziami, gdzie, przy energicznych zabiegach nauczyciela, dzieci mogłyby już wykonywać pewne pożyteczne (jeszcze raz podkreślam) przedmioty.

W jaki sposób zebrać narzędzia od gospodarzy do budynku, dajmy nato. szkolnego? Są dwa sposoby, które przy gromadzeniu narzędzi. większych trudności nie przewidują.

Mianowicie: pierwszy z nich, to zebrać rodziców, opiekunów uczniów, gospodarzy i urządzić z nimi pewną pogadankę, gdzie się zrozumiale wyłoży projekt urządzenia **wspólnej pracowni** dla mieszkańców wsi, oraz ich dzieci, uczących się w szkole. Oto gospodarze, którzy posiadają jakiekolwiek narzędzia (których segregowaniem i doprowadzeniem do porządku zajmie się nauczyciel, lecz to kwestja dalsza) zechcą je złożyć do rąk nauczyciela, który wspólnie z mieszkańcami wsi urządzi pracownię. Jak ma wyglądać pracownia?

Czasami są obok szkoły jakieś zabudowania, czy to szopa, czy stara chatyna, w ostatecznym razie można wynająć mieszkanie dość obszerne, w którym to budynku mieściłaby się pracownia. Oto szereg stolików, robionych z desek, umieszczonych popod ścianami, na których dzieci i starsi wykonywaliby pracę, na ścianach szafki, czy półki do narzędzi—to najogólniejszy zarys pracowni. Z założenia pracowni płyną obopólne korzyści, tak dla mieszkańców wsi, jak i dla ich dzieci-uczn. Oto jeden gospodarz nie może posiadać takiego zasobu narzędzi, jaki się może znaleźć w pracowni, dlatego też chcąc wykonać jakąś pracę, będzie chodził od sąsiada do sąsiada i pożyczał brakujące mu narzędzia, gdy tymczasem we wspólnej pracowni będzie miał wszystko pod ręką. Dzieci ich-uczn. będą miały slōjdownię.

Jeżeli się ojcu wytłumaczy, że syn jego będzie się uczył robić strugiem, czy piłą, czy też pilnikiem, to bądźmy pewni, że ojciec sam pomyśli nad tem, czy rzeczywiście nie byłoby dobrze, by jego syn zaznał się z tego rodzaju pracą.

Jeżeli nauczyciel będzie odpowiednio do tego przygotowany, to w krótkim czasie może rodzicom pokazać, że dziecko ich jest pod jego kierunkiem rzeczywiście może coś

zrobić, i wzbudzić w nich pewność, że w przyszłości—nie jeden z młodych bąków, rzeczy większej wagi wykonać potrafi.

Jakież są zarzuty przeciwko takiemu projektowi urządzenia slōjdowni?

Oto pierwszy: gospodarze nietylko mają pracę do wykonania w „pracowni“, ale też i w domu i narzędzia jakie są, są im potrzebne.

Jeżeli gospodarzowi są potrzebne narzędzia, może je wziąć z pracowni do domu, potem je zpowrotem zwróci. Wszak rok cały reperować w domu nie będzie. To samo z każdym gospodarzem. Po drugie nie powiedziałem wcale, by gospodarz oddał siekierę ostatnią, którą codzień drwa rąbie, do pracowni. Niech da takie narzędzia, jak dłuto, świder, pilnik, które w jego pracy nad szarym zagonem nie są mu zawsze potrzebne (co innego stolarzowi, slusarzowi i innym), albo też takie, których posiada parę. Zaznaczam, że do wykonania jakiejś pracy, która w pracowni wykonać się nie da, gospodarz ma prawo w każdej chwili do wypożyczenia, niejako, własnych narzędzi z pracowni.

Drugi zarzut. Narzędzia przecież są zniszczalne; slōjdownia będzie trwała dotąd, dopóki będą całe narzędzia, ale z chwilą ich zniszczenia—musi powoli upaść. Na to odpowiem: wszystkie narzędzia w jednej chwili się nie zniszczą, a gdy się coś z narzędzi zepsuje, lub zupełnie będzie niezdatne do użytku, wówczas zaapeluje się do mieszkańców wsi i zarządzi się groszową nieraz składkę, by odkupić zniszczone narzędzie. Mieszkańcy zaś, widząc pewne dobrodziejstwa, wypływające ze wspólnej pracowni, tak dla nich, jak i dla ich dzieci, napewno znajdą grosz na składkę.

Jedno mię tylko przestrasza, to uczciwość naszych wschodnio-polskich wiosek. Przy tego rodzaju wspólnych pracowniach, przy wypożyczaniu narzędzi do domu, przy ich zwracaniu w całości, tak, jak się wypożyczyło, potrzebną jest bedwzględna uczciwość, którą może podtrzymać przekonanie tylko, że pracownia przynosi korzyść i że **wielkich** wydatków z nią związanych niema. Mówię to na podstawie pewnej znajomości ludu wschodnich kresów.

Przypuśćmy jednak, że pracownię taką oraz narzędzia mamy. Jak się ma odbywać praca? Najwyczejajniej pod słowncem. Oto dzieci na godzinę robót ręcznych idą do pracowni i uczą się władać narzędziami pod kierunkiem nauczyciela, który jest do tego przygotowanym.

Pracownia jest zajęta naturalnie w godzinach szkolnych i to nie we wszystkich; będzie to zależało od tego, ile oddziałową szkołą będzie szkoła danej wsi. Reszta czasu jest przeznaczoną dla wszystkich innych.

Z czasem naturalnie, nauczyciel pomyśli o tem, by zebrać jakiś fundusz, który się przeznaczy na pracownię, na jej ulepszenie.

I naprawdę sprawdzi się wówczas zdanie, które brzmi mniej więcej, że nie masz takich terminów, takich przeszkód, które przy energicznym wysiłku człowieka, w tym wypadku nauczyciela, oraz przy pomocy Boskiej nie da się pokonać. Dzieci również odniosą korzyść, nie tylko praktyczną, ale stokroć większą, bo moralną; oto, gdy wykonają sami jakiś przedmiot, gdy się dowiedzą, zauważą, ile to pracy, ile wysiłku trzeba włożyć, by wykonać rzecz jakąś, wówczas nabiorą czci do pracy rąk ludzkich, nauczą się szanować **ciężką pracę**.

A wszak u nas tu, na kresach, poszanowanie cudzej pracy jest tak mało rozwinięte...

W. Dudziński.



Towarzystwo dobrej Książki.

Człowieka poznajemy nie tylko z jego otoczenia, lecz także i z książek, jakie czyta, bo i książki, podobnie jak ludzie, stanowią dla nas towarzystwo — a należy żyć ciągle w najlepszym towarzystwie czy to ludzi, czy książek.

Co zyskujemy, poprzestając w towarzystwie dobrej książki — najlepszego i najszczerzego przyjaciela, który nas nawet w chwilach smutku i niedoli nie opuszcza, lecz zjednakową przyjaźnią przyjmuje?

Przedewszystkiem wchodzimy niejako w drugi świat. czysty i dobry, który żywi i umacnia naszego ducha, bo, czytając książkę, oddychamy jej powietrzem, przeżywamy ją.

W młodości czerpiemy wskazówki, w starości doznajemy pocieszenia i wzmocnienia.

W wartościowej książce znajdujemy mnóstwo złotych myśli, które nas pouczają i pocieszają, myśli które zostają nieśmiertelne, choć runą posągi, świątynie, obrazy.

Dobre książki wprowadzają nas w najlepsze towarzystwo, zapoznają z największymi, dawniej żyjącymi, umysłami. Duchy wielkich ludzi, wcielone w księgi, przemawiają do nas, stąd ciągle jesteśmy pod wpływem mężów przeszłości.

Obrazy z życia tych ludzi wzruszają nasze serca, służą za przykłady do naśladowania, wpływają na uszlachetnienie naszych charakterów.

Przeczytanie i przeżycie pierwszej książki częstokroć decyduje o kierunku w życiu. Jak wielkie usługi oddaje wtedy wartościowa książka, w której oprócz szlachetnych rad i przykładów, niema nic coby młodą i nieskalaną jeszcze duszę spacyć mogło.

Pod wpływem dobrej książki nie tylko rozwijamy się umysłowo, lecz i zmieniamy usposobienie.

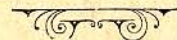
Inaczej czujemy, żyjemy i patrzymy na świat. Będąc zaś sami zdrowymi, śmiało uzdrawiamy i przekonywujemy innych, wpajając w nich proste zasady.

Dobra książka jest nieocenionym skarbem życiowym, bo nas kształci, buduje moralnie.

Więc nad nią zwieszajmy głowy,
Bo tam napój silny zdrowy,
Stamtąd przyjdzie nam znajomość
Wielkich rzeczy i świadomość
Jak wygrzebać skarby z ziemi
I jak ziemię podnieść niemi.

(Świdziński).

L. Mazurowska, V z.



Bez ufności i zapału nie masz ideału.

Nie nie robimy bez celu. Ucząc się, bardziej wyraźnie dążymy do niego, niż inni ludzie. Lecz ofiary i trudy, jakie trzeba ponieść, zniechęcają nas i odsuwają ten cel, czyniąc go niedostępnym i niedoścignionym. A więc tym, którzy opuszczają ręce i tracą wiarę w swoją promienną przyszłość trzeba powiedzieć: — Bez ufności i zapału nie masz ideału.

Wiara i zapał, to nie są tylko puste dźwięki, ale są to elementy twórcze. Ojczyznę naszą z niewoli nie siła wydzwi-

gnęła, nie złoto, ale ta wielka święta wiara i zapał, dający garstkowi Polaków siłę milionów.

My tak wielkiego dzieła stworzyć nie potrzebujemy, tylko musimy utrzymać je przy życiu i ulepszać, wychowując społeczeństwo.

A czem porwiemy odrętwiałe serca i wtłoczymy w wir życia kulturalnego, jeśli nie zapałem. Czem uzbroimy, jeśli nie wiarą.

„Jest w ludzkiej sile niespożyta” — mówi Kasprowicz.

Jest, tylko ją trzeba rozbudzić, wiarą nakarmić, zapałem rozgrzać i dopiero wtedy krzyknąć:

„Do czynu!”

Młode dusze są kolebką wiary i zapału. Z nieświadomości życia, z oczu ciekawie i szeroko otwartych na świat, z radości życia, niezamąconej jeszcze rozczarowaniami, rodzi się ten ogień twórczy, który pozwala nam być budowniczymi.

Twórzmy, pókiśmy młodzi, bo, choć owoc naszych wysiłków będzie zaledwie atomem tego ogromu pracy, który trzeba wykonać, jednak pamiętajmy, że ogrom ten właśnie z atomów się składa.

Z wiarą i zapałem — ku słońcu!

Izabella Leśna k. III z.



Coś niecoś o L. O. P. P.

— „Kolego dlaczego w naszym zakładzie niema L.O.P.P.? Czyż brak warunków po temu, aby mogło u nas istnieć?”

— „Eh, Koleżanko, ktoby tam się niem specjalnie zajmował, zresztą jeżeli ktoś chce konieczne należeć, to może zapisać się do Powiatowego Koła”.

— „To źle — mówi koleżanka, urażona taką odpowiedzią — że u nas taki brak zainteresowania się tem, co jest naprawdę dobre i konieczne. W każdej szkole pow., nie mówiąc już o szkołach średnich, starają się w jakikolwiek bądź sposób współpracować z głównymi instytucjami L. O. P. P., a u nas jakoś — nie”.

„Hm, a jak wy chcecie koleżanko pracować, bo chyba nie myślicie kleić samoloty i wynajdywać gazy trujące — nieprawdaż?”

„Żartujecie kolego i dlatego zapominacie, że możemy coś zrobić”... — rzekła odchodząc, urażona tą obojętnością dla tak wielkiej sprawy.

Nieraz zapewne obijały się nam o uszy słowa dotyczące się przyszłej wojny, która rozegra się w powietrzu, gdzie nie będą ścierały się jakieś oddziały pojedyncze, lecz w której wezmą udział wszyscy obywatele kraju bez względu na stan, religię i przekonania polityczne. Broń, jaką będą się posługiwać w tej walce, to są samoloty i gazy trujące. My nie mając pojęcia o groźnych skutkach ścierania się z taką bronią niedoceniały jej wartości i potrzeby. Lecz marszałek Foch powiedział: „Broń chemiczna jest najniebezpieczniejsza” i nic nowego, bo w przeciągu kilku minut kwitnące i spokojne połacie kraju zmienia w cmentarzysko i zgłiszcza.

Cóż więc trzeba robić, by uchronić się przed zgubą, zapytamy — prawda?

Jest jedna odpowiedź: — nie czekać na pomoc innych, bo ci inni są zaabsorbowani sobą — pomoc może przyjść od nas samych. Naród sam musi myśleć o tem co trzeba czynić i jakim sposobem można uchronić się przed pociskami nieprzyjacielskich lotników. Tu chyba każdy z nas zrozumie, że jedynym środkiem obrony może być tylko własne lotnictwo, bo z samolotem walczyć skutecznie może tylko samolot. A Polska, niestety, ma ich bardzo mało. W porównaniu z innemi państwami (Niemcy, Francja, Rosja i inne), liczba dotychczas wybudowanych samolotów, wyszkolonych pilotów i mechaników lotniczych, oraz odpowiednich lotnisk i hangarów, jest tak mała, że żadną miarą porównać się nie da z tem, co jest w wyżej wymienionych państwach. Dlatego też dużo trzeba zużytkować pracy, by mniej więcej wyrównać te olbrzymie braki. A stanie się to wtedy, gdy w Polsce będzie:

1. Instytut Aerodynamiczny.
2. Więcej szkół kształcących pilotów, inżynierów, techników, mechaników i obserwatorów lotniczych.
3. Lotniska i hangary.
4. Samoloty i silniki polskiej konstrukcji.

5. Świadomość o celach i zadaniach lotnictwa i niezbędności jego dla zachowania niepodległości kraju.

Lecz dla zrealizowania powyższych celów potrzebne są — pieniądze, o które w obecnym naszym położeniu tak trudno. Tak, trudno jest oczywiście dokonać czegoś jednostce, lecz gdy do tego czegoś weźmie się gromada, napewno coś zrobi.

U nas niema koła L. O. P. P., a szkoda, bo nas jest dużo i kto wie... gdybyśmy się tak wzięli i co miesiąc rzucili po groszu do ogólnej skarbonki, urosłyby z tego tysiące i... możebyśmy byli tak silni jak inne państwa.

Rzucam te słowa z nadzieją, że znajdą one oddźwięk, a głos mój nie będzie tym, który woła na puszczy.

(—).



Powitanie lasu.

(Fragment wrażeń z wycieczki).

W prześliczny poranek majowy, po drodze, zalanej złotymi promieniami słońca, posuwa się barwny wąż naszej wycieczki. Posuwamy się aleją parku, zwierzyńskiego w kierunku letniska, mijamy je i zagłębiamy się w las. Wchłania on nas swą głębią, zachwyca cichym jednostajnym poszumem, wesołym świergotem ptaszek; upaja balsamiczną wonią żywicy i brzozy, rozlaną dokoła. Wdychamy pełną piersią te ożywcze wonie leśne, budzące w nas jakieś dziwne instynkty—pragnienia. Mimowoli prężą się ramiona, chce się ogarnąć niemi cały ten las i wchłonąć w siebie jego woń czarowną. Piers się wznosi, rozpręża, coś w niej wre, coś się szamoce; zda się, że się wyrwie z niej okrzyk, który jak ptak wyzwolony z klatki frunie w las, powtarzany ech tysiącem i coraz dalszy—cichszy—zamarze gdzieś wśród szmaragdowej zieleni drzew. Lecz jakieś dziwne uczucie zwolna zalewa piers drżącą i oto cichnie burza

w niej szalejąca, okrzyk zamiera na ustach, a człowiek stoi z niemym podziwem wpatrzony w morze, skąpanej w złotych blaskach słońca, zieleni.—Powoli wyciąga ramiona ku kwiatom, zascielającym barwnym kobiercem podłogę lasu, pieści je wzrokiem, wchłania woń ich upajającą a z ust jego spływają wyrazy „Witaj lesie“! „Witaj wiosno czarowna“!

Z. R. IV m.

Z naszej smutnej wsi.

(Zdarzenie prawdziwe).

Mamusiu — mówi może dziesięcioletnia dziewczynka do matki — tak mi się nie chce tam jechać, może innym razem.

— Nie dziecko, pojedziesz, ciocia tak cię prosi. Ciocia ma teraz dużo roboty, żniwa, pomożesz jej.

Dziewczyna spuszcza smutnie główkę i odchodzi. Chce się jej płakać, choć sama nie wie czego. Zawsze z taką radością jechała na wieś, a dziś jakby ją co trzymało.

Z początku to jej kazali dzieci pilnować, ziemniaki czyścić, wodę nosić.

Dziewczynka pracowała.

Pewnego razu posłano ją konie paść! Wpędziła na małą łączkę, z czterech stron zamkniętą polami, z drogą, łączącą się tylko wąską miedzą, porośłą końskim szczawiem. Słońce już zaszło. Schłodziło. Przykucnęło biedniatko. Zawinęła się w chustkę.

W jej małej głowie, jedno tylko pragnienie „do domu“. Chce prędzej znaleźć się znowu w domu, przy mamusi, ze swymi zabawkami i książkami. Zdała już do IV oddziału, z nagrodą. Zdała. Dostała taką dużą, piękną książkę ze złotymi literami na grzbiecie. Mamusia mówiła, że jak skończy szkołę powszechną, to wyśle ją do gimnazjum. Tak się cieszy. Że skończy szkołę, jest pewna.

Marzy dziewczątko. a marzenie jej takie proste, jak prosta jest, jej dusza dziecinna.

W wyobraźni widzi siebie w takiej pięknej czapce ze świecącym znaczkiem, jak noszą koleżanki jej siostry, no, bo jest uczennicą gimnazjum.

Ma prawdziwą skórzaną teczkę. Jest w wielkiem mieście.

Zapadający zmrok miesza odrębne kształty i kolory. Kontury rosochatych przydrożnych wierzb łagodnieją. Do szaro-niebieskiej barwy nieba wlewa się coraz więcej fioletu.

Z ponad łąk wstają mgły.

Ocknęła się z marzeń dziewczynka. Gdzie konie? Łączka pusta. Patrzy na prawo. Chodzą najspokojniej po zagłębieniach cudzej koniczyny. Zrywa się; biegnie. Wbiega zrywa łodygę jakiegoś zioła, rosnącego na miedzy, by służyła jej zamiast bata.

— A no! — zabiega to z jednej to z drugiej strony. Konie poruszają się, ale nie myślą odrywać się od uczty. Podbiega bliżej, uderza swoją różeczką koni po nogach. Wstrząsnął się jeden z nich i wierzgnął potężnie nogą. Krótki krzyk i cisza. U nóg zwierząt leży dziewczynka. Zsunęła się jej chuścina, z pod niej, wymykają się kosmyki jasnych włosów. Twarzyczka, to taka biała, że mało się różni od chustki, tylko powyżej lewego ucha krwawi rana. Wypływa purpura krwi i spada na ziemię i wsiąka w tę czarną ziemię... Ziemio, polska ziemi! Małoz ci krwi ofiarnej naszych rycerzy, że chciwie wchłaniasz rubiny tego dziecka...

Poruszyły gałęzmi poschnięte wierzby. Coś zaszemrało, zaszleściło wśród liści. Lekki wietrzyk zaszumiał pieśń żalu i znowu cisza. Niewzruszone stoją wierzby. Z mroku wypęłza cisza, idzie spokój, ogarnia kojąco, jak dłoń jakaś liściowa i miękka. Kładzie się na cierpiącą skroń, kładzie się na zamknięte oczy dziecka. Nagle ciszę przerywa krzyk wrony. Siedzi na spróchniałej wierzbie i zawodzi jakąś złowrogą urągającą, a nadewszystko niesamowitą piosenkę.

Późnym wieczorem zaniepokojeni gospodarze znaleźli nieprzytomną dziewczynkę.

Umarła w nocy.

Dziś wspominając tę tragiczną, a zarazem tak prostą i cichą śmierć, wilgotnieją mi oczy.

Już dwa miesiące mija od jej śmierci, a ja ciągle widzę dużą papierowo-białą twarzyczkę z purpurową krwawiącą raną.

Otóż twoje marzenia dziecinko, pod ziemią czekasz na ich spełnienie się. Nic to. Nie trap się, tu marzenia rzadko się spełniają, tam — niema marzeń, bo wszystko jest ziszczeniem się marzenia ziemskiego.

H. Łotowska.

Z wycieczki do zamku.

(wyjątek z nowelki W. D.)

Zamek wyłonił się nam po kilku chwilach, gdyśmy uczynili zakręt w lewo na łąki, ciągnące się równą płaszczyzną, aż do stóp zamku.

Widać było jego olbrzymią sylwetę, umieszczoną na tle pogodnego, usianego miliardami gwiazd, nieba, wznoszącą się poszezerbionymi murami ku górze, otoczoną kirem nocny, tajemniczą i groźną. Napoły rozwalony zamek stał poważny, jak starzec siwobrody i spoglądał w czarną przestrzeń, zdawało się, iż poruszał się od czasu do czasu, chwiał się basztami, tak, jak się chwieją stuletnie dęby i urągał księżycowi, który go zalewał lodowatym zimnem swego światła.

Położony na niewielkiem wzgórzu, wznosił się nad okolicą i panował nad nią, jak monarcha, pieścił ją spojrzeniami, jak kochanek, był dla niej sercem i duszą.

Zdawało się, iż wszystko, cokolwiek tylko stanie się w okolicy, biegnie wnet po nieznanych, nadzwyczaj wrażliwych nerwach do zamku i wstrząsa jego wnętrzem, aż drży w posadach, irytuje się i złości, jak żywe stworzenie, odrzuca od siebie precz olbrzymie kawały tynku, cegieł, kamieni, wapna i biada temu, kto się w takiej chwili znajduje w jego komnatach. Bałem się zawsze tego zamku. Nie chciałem jednak okazać tego po sobie w tej chwili, by Stach i Janek nie myśleli, że ja człeczyna prawie sześćdziesięcioletni lekcam się „starej rudery“ i drzę na widok ruin, które nikomu niczem nie grożą.

Żyjąc na tym Bożym świecie, przekonałem się, że niektóre przeczucia nie mylą, a ja miałem niedobre przeczucie... Być może, iż powstało ono pod wpływem otoczenia, działania nocy na wyobraźnię. Być może, iż przyczyniła się do tego moja starość. Postanowiłem jednak w każdym wypadku być bardzo ostrożnym.

Od chwili, kiedy zamek wzbudził we mnie pewne zainteresowanie, coraz więcej starałem się z okolicznych opowiadań wysnuć prawdę, coraz bardziej zajmowały mnie szczegóły, tyżące się go.

Opowiadano o nim różne baję.

Z chaosu powiastek, legend, pieśni, wyniosłem zaledwie kilka pewnych wiadomości, które można było przyjąć, jako wiarogodne, bo potwierdzone dokumentami, wprawdzie

przestarzałymi, lecz bądź co bądź dokumentami, znajdującymi się w powiatowym urzędzie pobliskiego miasteczka.

Zamek zdawien dawna stał pustkami, a nieodrestaurowany przez nikogo, jał się walić w gruzy. Właściciel jego ongiś możny pan, wyjechał w czasie krajowych zamieszek, do Francji. Czy potomkowie jego żyją tam do dziś dnia, czyli też opuścili ten padół ziemski, wynosząc się do godniejszego przybytku, nikt o tem nie wie od dwustu z górą lat. Zamek zwiedzają liczni wycieczkowicze, o ile się mają za nieustraszonych, i prawią od świtu do nocy na niewyczerpany wiecznie temat — petęgi zamku w dawnych, zamierzchłych czasach, i jego znaczeniu w historii Polski, lecz nikt nie pomyśli nad tem, by ruiny, zapadające się z każdym dniem coraz bardziej, w jakikolwiek bądź sposób utrzymać w całości i przechować, jako zabytek historyczny młodszemu pokoleniu.

Któżby się był spodziewał, że ów, na pierwszy rzut oka potężny, zamek ukrywa w sobie dziwną niemoc, słabość, że grozi lada chwila zawaleniem i że, doprawdy, jedynie śmiałość mógłby drwić sobie z niego i chodząc bezkarnie po jego książęcych komnatach, bo zwyczajny śmiertelnik, obdarzony odrobiną ludzkiego strachu, nie mógłby tego uczynić w żaden sposób.

O słabym stanie zamku można było wywnioskować na pierwszy rzut oka z pęknięć w murze, z odpadania olbrzymich zlepisk wapiennych, głazów, drobniejszych kamieni i temu podobnych rzeczy. Nieraz ciszę nocną przerywał suchy trzask i łomot padającej z góry części ściany którejś z komnat i było go słychać daleko, daleko poza zamkiem.

Dziw! Tem właśnie powolnem konaniem zamek żył.

Po komnatach, napoły rozwalonych, uwijał się duch tajemniczy, a mocarny, wszystko, czego się tknął, chyliło się powoli, pękało i zamieniało się w gruzy, lecąc z góry, rozbijając się na drobne cząstki o wystające szkarpy, zawałając, prawie zupełnie, dziedziniec zamkowy.

Duch ów, niszczyciel, w którąkolwiek stronę by się nie zwrócił, niósł zawsze z sobą wieść żałobną, wróżbę smętną, że zginie to, co najpiękniejszym było ongiś i dziś jeszcze, zniknie, jak senne widziadło, okolica jeno pusta pozostanie i pamięć o gruzach.

Opowiadano o nim, że straszy.

W każdą prawie noc — ciekawsi, którzy się do ruin zamkowych zbliżali, mieli widzieć płomyki wśród murów, dziwnie świecące, duchy w ciemnych płaszczach, z świecą-

kami na głowach i wiele wiele innych rzeczy, które lud prosty (nieświadom rzeczy), wzięwszy na języki, rozniósł w rozmiarach stokroć większych, niżli w rzeczywistości było, i obdarzał niemi każdego, kto słuchać chciał, lub słuchać lubił. Wkońcu doszło do tego, że strach zupełnie oparował zabobonnych chłopków.

Zdala już, ledwo oczom ukazał się zamek, żegnano się z trwogą i przyspieszano kroku, by czempredzej uniknąć widoku siedliska złego ducha.

Ja, który dziwnym trafem (myślę, że to był sen) byłem tam, w podziemiach, wiem, co to są za strachy i śmieję się z opowiadań ludu, jednocześnie staram się im wytłomaczyć lecz cóż, kiedy chłop, wysłuchawszy moich oracji na ten temat, tkwi uparcie przy swoim i powiada:

— Musi tam coś być, bo straszy.

I na tem zwykle kończą się moje próby przekonywania niewiernych.

Opowiadają również, jakoby pan, odjeżdżając, miał ukryć w lochach pod zamkiem olbrzymi skarb, wszelkie swe srebro (a miał go niemało), i kosztowności, po które kusiło się wielu amatorów, lecz ci, dostawszy się do zamku, nigdy zeń nie wracali.

Ginęła o nich wieść wszelka, ginął słuch, i znów życie szło zwykłym trybem i znów płynęły z ust ludu powiastki, bajki, legendy, wszystko więcej, lub mniej zbliżone do prawdy, tajemnicze jak sferos i piękne.

Matki śpiewały swym dzieciom piosenki o bohaterach, walczących ze smokami w zamku, a wskazując nań ręką szeptały:

— Synuś kochanie, ty się nie będziesz, serduszko, bał zamku... prawda?...

A synuś kochanie wytrzeszczał okrągłe, niebieskie oczki na stare ruiny zameczyska i prawil uspokajająco:

— Aaa, aaal..

I tak zamek w oczach ludu był czemś nadzwyczajnem, dziwnem siedliskiem strachów i sił nieznanych. Powiadają, że owe postacie, które się po nocach ukazują, mają być wielce nieszczęśliwymi duszyczkami, pokutującymi po śmierci. Oczywiście bajka, lecz w każdej bajce jest minimalna cząsteczka prawdy, którą albo wykryjemy, albo też nie. Co do mnie — to nie wierzyłem i nie wierzę w to, co prawią o zamku.

A jednak...

Jednak w tej chwili, gdyśmy się zbliżali do tych właś-

nie ruder zamkowych, wszystkie opowieści, legendy i baśnie ludu, dotyczące się zamku, przesunęły się przede mną, wszyscy bohaterzy, kaci, barbarzyńcy bajek stanęli mi przed oczyma.

Mimowoli, z pewną dozą obawy, spoglądałem na kontury poszarpanych, jakby ręką ludzką, ścian i na czerniejące w górze otwory strzelnic, przez które przedostawało się, od czasu do czasu, światło księżyca. Górna część ścian zamku przybierała wówczas podobieństwo poszarpanej u góry tekturki, z większymi otworami niżej, wyobrażającymi okna.

— Czy wejdziemy bramą? — spytał mnie cicho Kraśnicki, na którym widać było również małą zmianę duchową.

— Tak, — odrzekłem.

— Musimy obejść mur.

— Obejdziemy.

Drogi, które ongiś przecinały okolice zamkową, porosły obecnie trawą, tworząc doskonałą łąkę, ścielącą się ciemnym kobiercem od wzgórza, na którym zamek stał, aż hen, w okolicę, kędy już wzrok sięgnąć dalej nie mógł z powodu ciemnej nocy. To, co się niegdyś zwało bramą, dziś było kawałkiem rozwalonego muru, po którym mógł przejść każdy, komukolwiek się tylko podobało, gdzie wicher hasał swobodnie, lub ptactwo dzikie odpoczywało.

Z każdą chwilą zamek zlewał się z ciemnością nocy, coraz to trudniej było rozeznaczyć jego poszarpane kontury, coraz bardziej droga poprzez gruzy stawała się cięższą i niewygodną. Przeszedłszy poprzez bramę, skierowaliśmy swe kroki ku czarnym ścianom budowli.

Naraz odezwał się głuchy stuk czegoś padającego tuż w pobliżu nas. Umyślnie to było uczynionem, czyli też dlatego, by nas przestrząsnąć? Przystanęliśmy wszyscy czworo, jak na komendę. Serca zadygotały nam mocniej w piersiach, a w głowach powstał dziwny szum. Wojtek tylko, który na wszystko spoglądał z napół otwartymi ustami, rzekłszy zgoła niegłupkowato: „co ta się bać“ skoczył w tę stronę, z której huk nas doszedł, by się przekonać, jaką przyczyną był wywołany. Wrócił mówiąc:

— Nima stracha, tylko wielgachny mur zleciał. Krucho dom. Jeszcze co komu na łeb spadnie!

Ruszyliśmy dalej. Stopy nasze dotykały tych samych płyt, po których ja stapałem miesiąc czasu temu, z tem samym wrażeniem pustki pod płytami. Dziwnie mi się uczyniło jakoś na sercu, gdy rzuciłem myślą w głąb podziemi, do owej, tajemnicą okrytej, hali maszyn i jej dziwnych wy-

nalazków. Przed oczyma pełzały mi biesiadnicy wieczoru, niezmierzonej długości korytarze, światło, panie, zagadkowe napisy na ścianach, książkach i w hali zabawowej. Potem, jak zmora z szyderczym uśmiechem, czołgała się dziwna paplanina Franka z podziemi, który wyrzekł wówczas drwiąc:

„Śmiałek znalazłby przedtem śmierć straszną... brr...!“

Dziwnie mi się uczyniło.

Niby się nie bałem, a jednak — lękałem się czegoś. Lękałem się tej czerni murów, i groźby słów Franka, i nocy i wszystkiego, wszystkiego. W pewnej chwili, gdyśmy doszli do czerniejącego otworu, prowadzącego do wnętrza zamku, chciałem zatrzymać wszystkich i rzec im:

— Nie ruszamy ani kroku dalej, śmierć nam grozi!...

Lecz zanim wyrzekłem pierwsze słowo, Stach wsunął głowę w otwór, następnie całe ciało i skoczył do wnętrza. To samo uczynił Janek. Obawiając się śmieszności, poszedłem za ich przykładem. Miałem dziwne uczucie. Czułem wyraźnie, że duch niedobry, nieznany mi, zamknął jakby za nami drzwi i uniemożliwił powrót. Stłumiony huk, wytworzony naszymi skokami rozległ się w komnacie, obił się o ściany i uniósł się ku górze. Nadśłuchiwałem przez chwilę i starałem się niedopuszczyć tej myśli, która jak natrętny owad szepleniła gdzieś w głębi mózgu to, co napawało mnie lękiem. Oto wyraźnie słyszałem w głowie szept, który, jak mi się zdawało, były również powtarzać i czarne, chłodem ziejące, ściany, komnaty, i mrok nocy, i kamienie, po których stapałem, a wszystko, jakby się zmówiło na nas i pragnęło tylko naszego nieszczęścia, szeptało brutalnie:

— Zginiesz... zginiesz... zginiesz!...

Nic łatwiejszego, jak zginać w tym zamku pod walącymi się od starości ścianami. Gdzieś z głębi zamku doszedł nas głos puhacza, wywołując dreszcz na ciele, i przejmując zimnem do szpiku kości. Śmiechem piekielnym rozbrzmiewał po pustych salach, budząc tysiączne echa w komnatach książęcych, odbijając się od pustych, poszarpanych ścian, torował sobie drogę poprzez otwory i wszelkiego rodzaju szpary do gwiaździstego nieba.

Drgnąłem też i ja pod wpływem złowrogiego głosu puszczyka. Widmo śmierci stanęło mi przed oczyma. Nie wiem dlaczego i jakim sposobem chwyciłem Janka Kraśnickiego za rękę i rzekłem prawie głośno:

— Słuchaj mi się tak zdaje, że...

— Pan wierzy w zły omen? — przerwał mi szybko, odwracając się.

— Nie wierzę, lecz mam niezbyt dobre przeczucie.

— Nic nam się absolutnie nie stanie!

— A jednak...

— A jednak obawiasz się pan głosu ptaka...

— Tak! — rzekłem, choć nie byłem pewnym, czy rzeczywiście boję się tego głosu. Bałem się, lecz sam nie wiem czego. Bałem się tego właśnie, co przyniósł z sobą krzyk nocnego włóczęgi i nie mogłem sobie w tej chwili tego wytłumaczyć.

Dziwny nieznany strach!

Co prawda, nie ja jeden zląkłem się „głosu ptaka”. Zląkł się również i Wojtek, gdyż czułem tuż za mną, jak podnosił prawą rękę i szeptał z przerwami:

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

W tej chwili urwało się u góry olbrzymie zlepisko kamieni z wapnem i rozprysło się tuż obok naszej grupy, jak kropla wody, która spadnie na kamień z dość znacznej wysokości.

— Wciórności — pomyślałem — brakuje jeszcze tego, by komuś głowę zmiażdżyć.

A potem:

— Trzeba nie mieć na grosz rozumu, by włączyć do tej walącej się rudery. Lecz trudno, różne są zachcianki ludzi, którzy nieraz im ulegają.

Ciemno tu, choć oko wykol. Z każdego kąta zdawały się wypełzać ku nam żarłoczne cienie, dziwne smoki-ludojady, o których ja dotychczas najmniejszego pojęcia nie miałem, i biegać tuż popod ścianami pustych sal, tańczyć skoczne murzyńskie tańce i oplatać nas w dziwacznych podrygach coraz bardziej ciasniejszym kołem. A wiło się to wszystko, a kłębiło się u naszych stóp, jak gromada żmij jadowitych, jak zespół kościotrupów, jak olbrzymie zbiorowisko gadów. Z cichym chichotem przeskakiwały przez nas białe, zwiewne chimery, podobne do fantasmogorij sennnych, przyskakiwały do nas, jak złe psy i ukazawszy szereg długich zębów, cofały się ze złością, by napad podwoić, potroić i znów napotkać i tak bez przerwy.

Myślałem, że nie wytrzymam.

— Janie! — odezwałem się cicho — zapalmy latarkę!

— Latarkę?

— Przecież nie zamek!

— Latarkę ma Stach.

— Więc zapalisz ją, niech się stanie, co chce.

Przystaliśmy na chwilę. Słychać było ciche oddechy i rytmiczne tykanie mego kieszonkowego zegarka. Stacho, wydostawszy latarkę i zapalki, zapalił ją. Usłyszeliśmy lekki trzask pocieranej w ciemnościach zapalki, a za chwilę błysnął niebiesko-biały płomyk.

Blask, trwożliwie zatoczywszy półkole, zatrzymał się na murze, od którego wiało czemś chłodnem i tajemniczem. Przy świetle latarki dostrzegliśmy wąską ścieżynę, biegnącą w dalszym ciągu popod ścianą i kryjącą się gdzieś przed nami w mroku. Postępowałem naprzód, oni za mną, schyleni, prawie że do połowy, trzymając się jedną ręką ściany.

Byliśmy podobni raczej do upiorów, niż do ludzi.

O czym myślałem w tej chwili?... Bóg jeden raczy wiedzieć. Przeróżne myśli snuły się po głowie. Przypomniałem sobie fragmenty z mego pierwszego pobytu w zamku. W pewnej sekundzie przesunęła mi się przed oczyma twarz mego przewodnika, który wówczas znikł w otworze muru. I nie wiem dziś, czy było to halucynacją, czyli też rzeczywistością, bo oto w tym momencie, kiedy światło z latarki, skacząc z kamyka na kamyk, zatrzymało się na większym głazie, ujrzałem tuż poza nim parę oczu, złośliwie utkwionych we mnie, świecących dziwnie fosforycznym blaskiem. Wstrzymałem oddech i przystanąłem na chwilę. Oczy wciąż tkwiły poza głazem. Phi, lichol!... Czy mię wzrok myli? Czy dostałem gorączki? Przecież nie jestem chory!...

Stach i Janek, nie wiedząc dlaczego się zatrzymał, spytali:

— Co tam?

— Tss!...

— Co panu?

W jednej chwili podniosłem latarkę do góry. a ręką drugą wskazałem na głaz, leżący o kilka kroków przed nami. Rzucili spojrzenie w tę stronę.

Oczy znikły.

— Cóż tam? — spytał, stojący na końcu, Stacho.

— Człowiek, czy djabeł! — rzuciłem drżącym głosem.

— Co? Gdzie? Jak?...

— Tu za tym głazem; już znikł.

— Przywidziało się panu!

I poszli dalej.

Nie wytrzymałem. Powróciłem do domu z mocnem postanowieniem nie powracania do zamku raz jeszcze.

W. Dudziński.



Podskuchane...

Na zniszczonej szkolnej ławie leżał najnowszy numer „Młodej Myśli“. Miał zaledwie kilka kartek i żółtą okładkę.

Widocznie przeraźliwą żółtością okładki zwabiony przybiegł na ławkę złoty promyczek słońca.

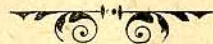
— Oj, jaka marna gazetcina — zadrwił swawolny promyk — i... i... i... a chuda, a żółta! Wielu ludziom przyświecałem przy pisaniu ksiąg, ale o ile pamiętam, żaden z tych ludzi takiej marnej gazetki nie napisał. Zobaczę kto tę biedotę na świat wydaje. Co Seminarjum Nauczycielskie? Ależ to moi znajomi. Często zaglądam do ich klas przez okno. Siedzą zamyśleni i słuchają wykładu. Jednak lubią moje odwiedziny. Gdy tylko wbiegnę do klasy, podnoszą z nad zesztytów głowy i uśmiechają się jasnym złotem spojrzeniem. No, ale niespodziewałem się, że to oni tę gazetkę piszą.

Usłyszała gazetka zrzęczenie swawolnego promyka i w odpowiedzi zaszemrała żółtymi kartkami.

— Oj promyku, nie wiem ja co się to moim karmicielom stało. Kiedyś byłam bogata w kartki, pełna naprawdę młodych myśli. Zadowolona byłam z życia i często uśmiechałam się do moich czytelników wesoło. A teraz? Jeden redaktor stara się, by mnie utrzymać przy życiu. Ach gdyby i inni chcieli zrozumieć! Znow byłabym pełna zdrowia, siły, hartu i czytelnikom bym tego udzielała. Wszak gazetka to najlepszy przyjaciel człowieka. Mnie powinni oni powierzać wszystkie smutki, radości, tęsknoty, młodzieńcze porywy, orle loty myśli. Jam jest drogą do słońca.

Umilkła gazetka a promyk westchnął. Żał mu było gazetki i chciał jej coś powiedzieć na pocieszenie, ale uciec musiał bo zakryła go macocha — chmura. W pustej klasie została sama żółta, biedna gazetka.

Izabella Leśna.



Pogrzeb nieznajomego.

(Zdarzenie prawdziwe)

Dziwnie skromny był ten pogrzeb.

Na zwykłym, prostym wozie leżała czarna trumna. Biały koń ciągnął wóz z trumną. Łeb miał zwieszony, grzywa opadła mu na oczy. Stapał wolno, ciężko po oślizgłych kamieniach bruku. Zapewne zrozumiał kogo ciągnie i dokąd... Ten biały koń i czarna trumna, przez zestawienie barw, zwiększały żałobę chwili.

Na przodzie, chłopak, wyrostek, niósł krzyż. Za wozem, ociężałe szli dwaj starcy. Resztki włosów mieli prawie białe. W lśniących łysinach załamywały się światła latarni. Ręce obwisły, głowa opadła ku ziemi. Zarówno z twarzy, jak i z całej postaci można było wyczytać jakąś cichą i zupełną determinację. Czterech ludzi, z tego jeden umarły, i koń stanowiło orszak pogrzebowy, który spotkałam na jednej z pryncypalnych ulic Białegostoku, mianowicie, na ulicy Sienkiewicza, koło kino „Apollo“.

Ulica tętniła życiem. Tłumy gdzieś śpieszyły. W powietrzu czuć było gorączkę i zdenerwowanie, tak charakterystyczne dla zmroków i wieczorów wielkomiejskich. Masa ludzi oglądała fotografie filmowe. Jedni wchodzili za oszkłone drzwi, by choć małą chwilę żyć złudzeniem, w zapomnieniu rzeczywistości, patrząc na srebrny ekran. Inni wychodzili z za tychże samych drzwi na ulicę, z twarzą rozdygotaną zdenerwowaniem i powleczoną chmurą goryczy. Może porównywali obrazy, widziane przed chwilą na ekranie z rzeczywistością. Samochody, najrozmaitszego rodzaju, pędziły, wydając przeraźliwe sygnały ostrzegawcze. Dorożki i t. p. wehikuły wydawały jednostajne, rytmiczne stukanie.

Lustrzane wystawy nęciły wzrok tysiącem przedmiotów, barw i blasków.

Czego tam nie było? Chyba wszystko prócz... spokoju. Spokoju? Tamten zmarły miał spokój, doczekał się wreszcie tego bezcennego stanu, spokoju...

Dawno już przeciągnął ów pogrzeb a myśli nie mogłam odeń oderwać.

Uporczywe pytania latały pod czaszką: Kim był? Kto po nim płacze? Co przez życie zrobił dla świata?

Do domu wróciłam ogromnie zdenerwowana. I tu dochodził szum wielkomiejskich fal. Miasto biło w potężny dzwon Czynu a tam, na ementarzu, nad Nieznanym zmarłym,

szamotały się konary bezlistnych drzew w rozpaczliwym wysiłku. Strząsały od czasu do czasu krople dżdżu, wielkie i smutne, jak łzy samotności i zapomnienia.

Kimkolwiek jesteś, niech Ci ziemia będzie lekka, niech dusza Twa śni cudny sen—życie, tam, gdzie niema smutków i tęsknoty, niema bólu i łez, niema ubogich i bogatych, tam gdzie wszyscy są równi wobec niepojętego ogromu szczęścia!

Łotowska IV.

Sprawozdanie z wycieczki do Wigier.

Klasztor Kamedułów na Wigrach.

Na pagórku, leżącym wśród błękitnej tafli jeziora, wznosi się niegdyś potężny i wspaniały, dziś chylący się ku upadkowi klasztor kamedułów. Wojny czterech stuleci przeleciały nad głowami wież kościelnych zostawiając po sobie ruinę...

Klasztor został założony za czasów panowania kr. IV-go, przez zakonników przybyłych z Włoch. Stare mury, cenne kryją w sobie pamiątki. W podziemiach spoczywają zwłoki pierwszego biskupa diecezji Wigierskiej ks. Kasprowicza. Wewnątrz znajdują się obrazy pędzla Sumglejewicza. Ołtarze są budowane w różnych stylach, poczynając od wysmukłych kolumn renesansu, a kończąc na złożonych muszlach rokoka. Niektóre z ołtarzy były odnawiane i to dosyć naiwnie, przez pobożnych, lecz niewprawnych artystów. Tak więc jeden z bocznych ołtarzy, w którym z trudem doszukać się można zasadniczego stylu barakowego, został dosyć nieudolnie pomalowany rażąco-jaskrawymi kolorami.

Ale to tylko jeden; reszta ołtarzy znajduje się w opłakany stan. Potrzaskane kolumny, posadzka usiana gruzami, wśród których uśmiechnie się czasem dziecinna główka amorka, lub wykwitnie rozeta o precudnie rzeźbionych płatkach.

Smutny obraz — nasuwają się myśli, że wśród tych ścian snują się dusze mnichów dawno zmarłych, z tajemniczym szepceniem na ustach — „Memento mori“...

H. D. k. III z.

Sprawozdanie z wycieczki do Wigier.

Kanał Augustowski.

W drodze powrotnej od jeziora Wigierskiego zatrzymaliśmy się w Augustowie, ażeby po śniadaniu wyruszyć statkiem na słynne z malowniczości jeziora i kanał Augustowski.

Kanał ten łączy Wisłę z Niemnem.

Kanał Augustowski bierze początek przy ujściu Netty do Biebrzy i za jej pośrednictwem łączy się z Narwią. Ponieważ poziom wód kanału jest o wiele wyższy, niż poziom wód w rzekach z nim połączonych, dlatego wzdłuż kanału jest zbudowanych 21 śluz. Kanał Augustowski z powodu braku wody nie ma prawie żadnego znaczenia, służy tylko do spławiania tratw drzewnych.

Za Augustowem, z wodami Netty wypłynęliśmy na jedno z większych jezior — Necko. Następnie droga wodna prowadziła nas jeziorem Białem, otoczonym lasami i bagnami aż do kresu naszej podróży — śluzy łączącej jezioro Stuzienniczne.

Jezior: Necko, Białe, Stuzienniczne tworzą pas wodny czternasto-kilometrowy, otoczony lasami od samego Augustowa.

Wieś Stuzienniczna, a właściwie kościółek, kaplica na wysepce z cudownym obrazem Matki Boskiej i parę zaledwie domów, położona jest nad jeziorem tejże nazwy i kanałem Augustowskim.

W czasie naszego pobytu nad kanałem przyjrzałyśmy się w jaki sposób spławia się drzewo przez śluzy.

Aby podnieść poziom wody i nadać jej odpowiedni spadek, bramy w kanale o cementowych ścianach zamyka się i otwiera.

Stacja hydrobiologiczna nad Wigrami.

Stacje hydrobiologiczne są kolebką nauki, zwanej limnologią. Jest to powstała w najnowszych czasach nowa gałąź wiedzy, poświęcona badaniu wód słodkich. Stacje mają za zadanie nie tylko badanie składu jakościowego słodkowodnego świata zwierzęcego i roślinnego, ale i zagadnień

czysto biologicznych, jak występowanie organizmów w różnych strefach zbiornika, ich rozmnażanie i zmienność.

Metoda badań limnologicznych opiera się na porównawczych badaniach jeziorowych, więc z tego względu stacje są zaopatrzone w odpowiednie przyrządy do badań.

Trzecią z kolei stacją hydrobiologiczną polską (po stacji nad jeziorem Drozdowskim koło Gródka Jagiellońskiego i po stacji w Rudzie Malenieckiej w woj. Kioleckiem) jest stacja nad jeziorami Wigierskimi.

Miałymy sposobność zwiedzenia jej podczas naszej zeszłorocznej wycieczki do Wigier i do Augustowa.

Zdała widok na uroczne jezioro Wigierskie. Jego kryształowa powierzchnia przybrana jest w majestatyczną powagę.

Na brzegach jeziora rozrzucone są wioski, pnie się bór sosnowy, na miejscach niskich łąki kwieciste i torfowiska.

W odległości 80 metrów od brzegu północnego jeziora Wigierskiego znajduje się stacja w pięknym, nowym budynku, przystosowanym do obecnych wymagań nauki słodkowodnych stacji w Europie.

W roku 1920, stacja tymczasowa mieściła się w osadzie Płociczno i nawet w czasie okupacji praca nie została przerwana.

Stacja hydrobiologiczna nad Wigrami zawdzięcza swe istnienie staraniom Instytutu Biologii doświadczalnej Towarzystwa Warszawskiego.

Wśród grupy Jezior Wigierskich, jezioro Wigry odznacza się nie tylko malowniczością położenia: jest ono największym jeziorem wśród pojezierza Augustowskiego w granicach naszego kraju.

Woda w jeziorze ma odcień zielonkawy, jest jednak czysta zupełnie.

W szeregu jezior żyją gatunki rzadkich zwierząt i roślin. Między innymi oglądaliśmy pstragi, sielawy i sieję wigierską, o której krąży wśród ludu podanie, że została sprowadzona przez czartę z Włoch na rozkaz zakonnika z pobliskiego zakonu Kamedułów.



KRONIKA.

dn. 17. VI. 29 r.

Wycieczka do Wigier.

Oby prędzej nadszedł ten 17, wycieczka, a z nią koniec roku — słowa te najczęściej pojawiały się, w ostatnich czasach, w rozmowie drugokursistek. Aż nadszedł ten upragniony dzień. Kurs nasz rozbił się na dwie gromadki wycieczkowiczów. Jedenaście dziewczynek 16. VI wyjechało do Poznania, a reszta, wraz z kursem pierwszym i wstępnym do jezior wigierskich.

W niedzielę, o dziesiątej wieczorem, zebraliśmy się prawie wszystkie w szkole, prawie — bo wygodnisie nasze miały przyjechać wprost na stację, ażeby z wieczora jeszcze się przespać.

O pół do jedenastej siedzieliśmy w poczekalni, mrużąc oczy niezwykle do długiego czuwania, ale miny miałyśmy wszystkie uśmiechnięte — i prawie bohaterskie, bo przecież już i po końcu roku i po sesjach, już nad każdą zapadł wyrok, pomyślny — czy nie, ale zapadł nie czas teraz na żale i koniec.

Za dziesięć dwunasta, pani wychowawczyni sprawdziła obecność i wsiadaliśmy do pociągu. Krzyk, gwar, zamieszanie, dziewczynki się nawoływały, wsiadając do przedziałów gromadkami, tak jak się przedtem umówiły. Czekaliśmy dość długo, bo dopiero coś około drugiej wyruszyliśmy w stronę Grodna. Z początku wszystkie zgromadziłyśmy się przy oknie obserwując światła białostockie, które coraz bardziej się oddalały i niknęły w cieniach nocy, ale z każdą chwilą zmniejszała się liczba ciekawskich, a coraz więcej było śpiących. Każda się umieszczała jak najwygodniej, niektóre zaś zajmowały miejsca sąsiadek i słodko przekładały, że lepiej spać na zmianę i że się tylko zdrzemną i wnet puszczą pozostałe. Powoli wszystkie zasypały, słysząc było tylko głosy Gienki i Heli, które mierzyły ławkę sznurkiem na dwie równe części dowodząc, że tak będzie najsprawiedliwiej i słusznie. Aż i one napnomiane przez koleżanki usnęły.

Słońce wschodziło. Razem z jego promieniami wpadł do naszego przedziału głos Heli „Niemen, dziewczynki Niemen“, zerwałyśmy się prawie wszystkie, zostały tylko te, które zdrzemnęły się na całej ławce, przetarłyśmy oczy zaspane i z góry z okien pociągu patrzyliśmy na majestatycznie przepływający, cudny Niemen. Brzegi ma wysokie, całe w zieleni wiosennej, a purpurowo-złociste chmurki wschodu na niebie przysyłające jeszcze słońce, odbijały się w wodzie misternie się załamując i tworząc

kolory tęcze. Przejechawszy most wszystkie zwróciliśmy głowy za Niemen, pociągnięte pięknym widokiem. Dalsza droga przeszła bardzo prędko, śpiewaliśmy, lub też stojąc przy oknach podziwialiśmy krajobraz, prawdziwie litewski — lasy i woda.

Stacja Płoticzno. Wsiadliśmy i pomaszerowaliśmy do jeziora (5 km nie dużo). Szliśmy dość raźnie dźwigając swe paki, tylko plecaki żywnościowe, ze wspólnymi prowiantami jakoś nie miały wzięcia i bardzo prędko dochodziły do ostatniej pary, pocąc się odstawiały je z powrotem do pierwszej.

Droga była piaszczysta, kurz, słońce przypiekało, więc z niecierpliwością wyglądałyśmy jeziora, a niecierpliwa Stasia wyglądała holownika, którym miałyśmy jechać, myśląc, że go gdzieś po drodze spotka na piasku (coprawda żadna z nas nie miała pojęcia, jak wygląda holownik i jaki to środek komunikacji lądowej, czy wodnej). Nareszcie wdrapałyśmy się po gliniastym gruncie na małe wzniesienie i stanęliśmy zdumione. My białostoczanie z nad rzeki Białej nie miałyśmy pojęcia o takim obszarze wody, gdzie okiem rzuciłyśmy rozlewała woda i woda.

Napatrzywszy się i nawzdychawszy, rozłożyliśmy obóz nad brzegiem jeziora. Po posiłku, zdjęwszy obuwie — wszystkie byłyśmy w wodzie. Podpłynął holownik (bardzo nieokazały, zwyczajna większa łódka z motorem) i część dziewczynek wyruszyła do schroniska na Wigrach, a my drugokursistki czekałyśmy.

Nie nudziło się nam wcale, spędzałyśmy czas w wodzie, rozmawiając z rybakami bardzo sympatycznymi. Wogóle zauważyliśmy, że lud tamtejszy jest bardzo uprzejmy.

Coś aż po cztery godzinach czekania nadpłynął holownik i pojechaliśmy przez jezioro wigierskie do schroniska. Pogoda była śliczna, słońce dogrzewało, wszystkie na bosaka i w lekkich sukienkach bawiłyśmy się wodą, która miała jakiś przecudny ciemno, ciemno zielony ton. Zapytałyśmy u przewoźnika o głębokości jeziora, rzekł, że tylko 80 m. Miny jakoś nam zrzedły, każda poprawiła się na miejscu i spokojniej siedziała. Oho! 80 m. to nie żarty.

Płynąc ciekawie, rozglądałyśmy się wokoło. Wszędzie zieleni i woda. Spotykałyśmy nieduże wysepki całe zielone, spotykałyśmy ptaki wodne kurki, którym tylko łebki widać było z nad wody i czajki, które miękko szeleszcząc białymi skrzydełkami unosiły się w górze. Któraś podaje projekt śpiewania, wszystkie się zgadzamy. Popłynęły słowa piosenek razem z ciemnymi falami jeziora.

Aż śpiew został nagle przerwany, holownik zagwizdawszy zasypał nas drobnymi kropelkami wody. Terenia, której było bardzo gorąco z ulgą przeciągnęła ręką po twarzy i o zgrozo—

stała się podobną do kominiarza, bo razem z kropelkami wody wyrzucił holownik tumany sadzy. Śmiałyśmy się wszystkie, śmiała się i Terenia zajrzawszy do lusterka, wszystkie zresztą byłyśmy zasypane sadzą.

Po dwugodzinnej podróży dobiełyśmy do brzegu i podrepatałyśmy na górę do schroniska towarzystwa krajoznawczego na Wigrach, wówczas jeszcze nieskończonego. Zrobiliśmy sobie posłanie z wiórów na ziemi i pędem do jeziora.

Po kolacji umieściliśmy się na wysokiej górze za schroniskiem i śpiewaliśmy... A śpiewało się jakoś tak dobrze i daleko echo roznosiło nasze dźwięczne głosy po wigierskim pustkowiu.

Wieczór zapadł. Żadna z nas jednak pomimo zmęczenia nie wracała do schroniska, dopiero napomniane kilkakrotnie przez panią wychowawczynię z żalem opuściłyśmy uroczą górę.

Na drugi dzień obudziło nas słońce. Pogoda nam ciągle dopisywała, wszystkie więc znalazły się nad stawem, a do gotowania śniadania jakoś nie było ochotniczek. Po śniadaniu część dziewczynek wyruszyła łódką żaglową na przeciwny brzeg zwiedzać klasztor Kamedułów, a my drugo-kursistki z panią Wyżykowską poszłyśmy zwiedzać stację hydrobiologiczną. Do stacji niedaleko było, szłyśmy drogą otoczoną zbożami, w których prześlicznie czerwieniły się krocie maków polnych.

Stacja hydro-biologiczna niedawno jeszcze powstała, więc nie miałyśmy dużo okazji do oglądania, podziwialiśmy tylko kilka dużych ryb tak zwanych siej, o ślicznej lśniącej łusce, wyłowionych z jezior okolicznych.

Po zwiedzeniu wyciągnawszy się na słońcu na pomoście czekałyśmy na przewóz do klasztoru. Wraz z pomyślnym wiatrem lekko kołysząc się nadpłynęła łódka.

Wsiadłyśmy i w drogę. Najodważniejsze ulokowały się z brzegu, a wcale nieodważne w sam środek i złapawszy za sznurek od żagla dopiero odetchnęły z głębi swej istoty. Pomknęliśmy w kierunku klasztoru. Łódź przebijając fale ukośnie i lekko, wjechawszy jednak na środek — musiała walczyć z wiatrem, kręciła się więc na miejscu, przechylała, żagiel buńczucznie łopotał. O! biedne nieodważne, co w sercach ich musiało się dziać, skoro po policzkach toczyły się strumienie łez. No ale żagiel bokiem zwrócony przekonał wiatr i szczęśliwie dobiełyśmy do brzegu.

Zwiedziliśmy klasztor. Niektóre obrazy boczne, każdy w innym stylu, zupełnie dobrze są jeszcze zachowane. Po krętych schodach wdrapałyśmy się na dzwonicę i obserwowaliśmy okolicę. Klasztor stoi na wysokiej górze otoczonej ogromnymi wodami.

Fale jeziora ślicznie się lśniły pod promieniami słonecznymi i co jakiś kawałek, to kolor był inny, barwniejszy, ładniejszy. Z żalem zeszyliśmy z wieży wystraszone olbrzymiem sercem dzwonu, dzwoniącego na Anioł Pański.

Łódka już na nas czekała, usiadliśmy i ze słowami piosenki: „Choć burza huczy wkoło nas“ szczęśliwie dopłynęliśmy do schroniska. Po obiedzie, złożywszy plecaki na furę, wyruszyliśmy w 10 km marsz do Suwałk. Szliśmy drogą, otoczoną półkami uprawianymi przez młodzież szkolną i wysadzoną drzewkami owocowymi. Zdziwił nas taki wysoki poziom kultury, na takim bezludziu. Gleba w Suwalszczyźnie jest dość urodzajna, pomimo falistego mocno terenu.

W Suwałkach przyjęły nas seminarzystki herbatką w swojej choć o wiele mniejszej od naszej, ale bardzo miłutkiej stolówce.

Po kilku godzinnym odpoczynku wyruszyliśmy na stację, a ulokowawszy się w wagonach, zasnęliśmy snem sprawiedliwych. Obudziliśmy się w Augustowie. Na stacji znaleźliśmy przewodników, seminarzystów augustowskich, którzy pomagając dźwigać plecaki, zaprowadzili nas do swego seminarjum, dość oddalonego od stacji. Dyrektor seminarjum pan Wołosewicz wraz z panią Wołosewiczową przyjęli nas bardzo gościnnie.

A seminarzyści okazali się wyjątkowo grzeczni i uprzejmi.

Po umyciu się i przygotowaniu śniadań, zabrałyśmy się w salę jadalnej.

Przy dźwiękach radia apetyt nam doskonale dopisywał, znikwały więc rozmaite resztki specjałów domowych wraz z herbatką augustowską.

O dziesiątej zwiedziliśmy z panem Wołosewiczem kanał augustowski, a później zamówiliśmy statek pojechaliśmy po tych wodach augustowskich.

Przejeżdżaliśmy przez jeziora Białe, Necko, a przepłynąwszy i Stuzienniczne wylądowałyśmy i przez sosnowy laszek wyruszyliśmy na dziedziniec kościelny, na którym znajduje się studnia z wodą święconą i dwie kapliczki drewniana i murowana. Bardzo sympatyczny ksiądz opowiedział nam o założycielu kapliczek Janie Morawskim. Kapliczka murowana, zbudowana w stylu jakgdyby renesansowym, występuje wyraźnie na tle zieleni. W bocznej ścianie znajduje się marmurowa tablica z datą urodzin i śmierci Jana Morawskiego, tego dziwnego człowieka, który z wojaka stał się pustelnikiem.

Miejscowość Stuzienniczne już od 200-tu lat słynie z cudów i co roku na Zielone Świątki zbierają się tłumy ludności nawet z dalekich okolic.

Zakątek ten i jego dzieje wprowadziły nas w poważny nastrój.

O czwartej poszliśmy się kąpać. Tam dopiero była rozkosz. Woda ciepła, zmęczenie gdzieś prysło, wszystkie roześmiane fikały koziołki, aż bryzgi wody tworzyły kurzawę. W seminarjum czekała nas herbatka i zabawa. Koledzy niecierpliwie chodząc pode drzwiami czekali końca kolacji i doczekawszy się porwali nas w takt muzyki. Ubawiłyśmy się wybornie i niejedną obcas jako widoczny dowód został na sali. Ostatni marsz zażgrzmiał ponuro; podziękowawszy i pożegnawszy państwa Wołosewiczów i seminarzystów ruszyliśmy na stację. W przedziałach zmęczenie nas zwyciężyło więc, ulokowawszy się gdzie która mogła, usnęliśmy.

Obudziliśmy się na moście i znowu mignął Niemen w takim samym świetle porannem, (więcej tylko otoczony welonem mgły).

Białystok. Na peronie zrobiliśmy poraż ostatni zbiórke i podziękowawszy paniom: Gulbińskiej i Wyżykowskiej za przeprowadzenie tak miłej wycieczki, umknęłyśmy każda w swoją stronę prawdopodobnie w objęcia poduszki.

J. Łosiówna.



HUMOR I SATYRA

Echa z przedstawienia.

Trzeba mieć rzeczywiście terpentynę w głowie, żeby słysząc słowa, padające z ust naszych mistrzów sceny, zasnąć. Można to uczynić w teatrze „Palace“, na wieczorne choinkowym w gimnazjum, ale u nas!..

Przecież to wszystko było takie „bajecznie kolorowe“, że widzowie (w liczbie sześciu), jak jeden głupi mąż, dostali zapalenia oczu i od razu z Seminarjum musieli się udać do Kasy Chorych.

Nie na tem koniec.

Oto widziało się gościa, który kulał przez całą długość korytarza (za swoje psie pieniądze), inny gorączkowo obwiązywał mokrą od łez chusteczką — głowę, a jeszcze inny kłał, począwszy od wszystkich świętych, a skończywszy na

dwóch tysiącach djabłów i trzymał się warjacko za żołądek.

Ci nasi kasjerzy—to Rzymianie!

Zaledwie rozpoczęło się przedstawienie, gdy jeden z drugim, zerwawszy się z obłąkanym wyrazem twarzy, wpada do sali rysunkowej, i wymachując rękami, krzyczy coś, czegoby żaden koń w Białymstoku nie zrozumiał.

— Czego? — rzucają mu pytanie.

— Dwa i pół złotego czystego zysku!

— Kolego, napijcie się jodyny, to tak dużo?

— No, worek internatowej soli można będzie wysłać do Poznania.

— Tak, to wiele!...

W sali rysunkowej odbywała się generalna przeróbka tego, co stworzył Pan Bóg. Dorabiano więc nosy, twarze, uszy, włosy, zapomocą przyrządów, w postaci pałeczek (w Chinach ryż pałeczkami jedzą), co naturalnie wykazywało naszą pod tym względem wysoką kulturę.

Dzwonek.

Wszyscy na scenę.

Chłopcy, udając krakowiaków, ulokowali się w butach, tak wielkich, że im ino nosy było widać. Czyż to nie cudnie?...

Po rozsunięciu prześcieradeł, które się u nas zwą kurtyną, goście podnieśli głowy o trzy centymetry wyżej.

— Mamuty li to?—rozległ się szept na sali.

— Ciszej, proszę pani—mówi jakaś sąsiadka—ja tych seminarzystów znam, zaraz zrobią krótkie spienie i będziemy zmuszeni czekać aż do jutra na koniec przedstawienia.

— Ciszej!

Wtem ryknęła orkiestra. Kwiliła żałośnie trąba, jak gęś świeżo smażona, piszczały sentymentalnie skrzypce, jak koleżanki przed maturą, a nad wszystkim panował kontrabas, który się rzucał, jak rozwścieczony byk, z pomrukiwaniem groźnem na wsze strony.

I było dwa przedstawienia; jedno za kurtyną, drugie przed kurtyną, goście zaś nie wiedzieli, gdzie to jest właściwe przedstawienie, tak, że dało się słyszeć na sali niepokojące pytanie:

— Czy, broń Boże, nie zajdzie potrzeba kupowania jeszcze jednego biletu?

Na szczęście nie.

Na tej scenie (prawdziwej scenie) ozwały się najpierw dziwne bulgotania potem, głos, przypominający auto w pełnym biegu, katarynkę... ts... to śpiewał Szymek.

Przedstawienie się zaczęło.

Panowie Osterwa, Solski, Węgrzyn, otworzyli szeroko oczy, gdy się na scenie ukazała nowa gwiazda sceny polskiej: Kuba.

Chłop przystojny, jak trup, z podrobionemi oczyma wielbłąda, pojedzie na zdobycie Ameryki, Afryki, Nowej Gwinei, Eskimosów, ja w tem, jak mi wiceredaktorka miła, ja w tem.

Czy to nie cudnie?...

Siedzi wójt przy stoliku (pulchniutki, niktby nie poznał, że to Deptuła) i krzyczą razem ze starym Maciejem, że goście idą, krzyczą jak się należy, aż kawałki papierowych gałązek odrywają się i padają do stóp tych, co to widzów w napięciu trzymają.

— Gdzie ci goście?

Są!...

Oto z za granatowego pnia drzewa ukazuje się najpierw kawałek ucha, potem całe ucho, wkońcu podmalowane oko, które poczyną niepokojąco biegać po scenie i pytać wójta:

— Czy już czas!

— Już!

— To w takim razie wejdźmy!

Wchodzą dwie osoby, ziewnawszy przedtem rzetelnie i siadają na stołkach. Wtem cisza, najprawdziwsza cisza.

Co się stało? Widzowie mogą poczekać, jeszcze dopiero pół do pierwszej!

Cóż się stało nareszcie?

Nic, nic, Marynka kończy jeść podwieczorek, który jej przyniesiono ze stołówki, ale w tej chwili skończy.

Dalej wiadomo.

Przerwa.

Kto żyje, ten na łeb na szyję wychodzi z sali i ziewa, tak strasznie, że wszystkie krokodyle w Nilu mogliby mu pozazdrościć i płakać.

Akt trzeci.

Marynka z Frankiem, mocno „zawianym“ i z podbitym okiem, dokazują cudów waleczności z koralami, kółeczkami, paseczkami i tp. gratami. Franuś wstydliwie obejmuje Marynkę ramieniem, Marynka jeszcze wstydliwiej wykręca się na pięcie (gdyby to nie na scenie, ale to na prawdziwej, zrobionej z sosnowych desek, scenie), a goście na sali szepcą jeden drugiemu.

— Musi ten seminarjusz jeszcze się nie trenował!?

Bo i nie... jakżeby mogło być inaczej?...

Jednemu z krakowiaków (z Bacieczek i Wysokiego Mazowiecka), którzy niby tańczyli na scenie, uczyniło się nie-szczęście. Oto jeden olbrzymi but wlaźł nieborakowi w jedną ze szczelin na scenie, których u nas (dzięki Bogu) nie brakuje, tak, że nieborak musiał wyjąć nogę z buta i odtńczyć krakowiaka na jednej nodze wskutek czego wytworzył ze swą krakowianką (rodem z Zimnochów-Świechów) taką symbjozę, jakiej nawet Kopernik w przyrodzie nie odkrył.

Doskonale swą rolę odtworzył niemowa, bo w chwili kiedy był na scenie, udławił się kawałkiem kiełbasy, którą chciał nagwałt przełknąć, zanim wyszedł przed oczy publiczności.

Nazajutrz jeszcze nie odpowiadał z żadnej lekcji, mówiąc, że go jeszcze coś w gardle trzyma.

Potem (blisko tańca). Marynka zaśpiewała. Gościom się zdawało, że słyszą, źle nastawiony aparat radiowy. Było tam coś i z Moskwy, i Paryża i z Kongo i z Wilna, a razem z Marynki.

Jeden z gości otworzył zaspane oko, które był zamknął, a ujrawszy olbrzymią czuprynę Józefa (tego ze sceny), znów je przymknął, i znów otworzył, wkońcu zamknął tak, że nawet Napoleon I, ze swoją armją, nie potrafiłby mu je otworzyć.

Kurtyna opadła, przepraszam — zsunęła się.

Przedstawienie się skończyło.

Aktorowie mają się sfotografować.

Józef nie mógł być na fotografii, bo skacząc z to-mahawkiem po scenie, rozerwał sobie ostatnie porciętą, i to w dość fałszywym miejscu. Biedaczek!

Goście, wychodząc klęli, na czym świat stoi i obiecali, że kiedy tylko będzie przedstawienie w Seminarjum, to przyjdą zawsze, choćby nie było „pierwszego“ i choćby im bez grosza iść wypadło, bo tyle wrażeń co to przedstawienie, nie da żadne inne w Województwie krakowskim.

Te nasze przedstawienia, to dziesiąty cud świata, to życie i humor, rozweselenie pocziwego żywota.

To piekło Dantego.

W. Dudziński.

Z zebrania przed majówką.

P. pr. R. — Możeby tak M. pomagał także w pracy gospodarskiej, bo tam jest dużo roboty?

M. — Panie profesorze... ja... ja... ja Komisja Rewizyjna, to ja nie mogę, bo muszę czuwać nad ogólnym porządkiem.

Nauka przed maturą.

J. — Krasiński, opuściwszy Rzym, udał się do... udał się... At do licha...

Służąca: — Czy tak w książce napisane?

KRONIKA.

3 maja. Rano o godz. 10, młodzież naszej szkoły udała się po miasta, aby wziąć udział w uroczystościach. Po mszy św. polowej, odprawionej przez ks. Dziekana i defiladzie powróciliśmy do szkoły, gdzie odbył się uroczysty poranek. Na początku p. Pacewiczówna skreśliła ogólne znaczenie konstytucji 3-go Maja. Uroczysty nastrój pogłębił chór i zespół naszej szkoły; na zakończenie poranku odśpiewano Hymn Narodowy.

5 maja. Wieczorem, staraniem kursu III m. odbył się wieczór ku czci Stanisława Moniuszki. Na program złożyły się: życiorys Moniuszki i dział koncertowy.

16 maja. Rano o godzinie ósmej młodzież naszej szkoły wyruszyła na majówkę do Hryniewicz. Cały dzień, aż do zachodu słońca, spędziliśmy w lesie na wesołych grach i śpiewach,

11 maja. Po modlitwie kol. Dudziński wygłosił referat na temat „Spółdzielczość“.

11 czerwca. Kol. Bogucki wygłosił referat p. t. „Kultura Rolna“.

16 czerwca. Dzisiaj rannym pociągiem wyjechali starsze kursa na Wystawę do Poznania, a młodsze do Suwałk.

20 czerwca. W nocy powróciliśmy z Poznania pełni wrażeń i zachwytów nad tem, cośmy mieli możność zobaczyć na Wystawie.

23 czerwca. Jest już koniec roku. Dzisiaj otrzymaliśmy cenzury, a maturzyści nasi — dyplomy. Przemówienie

do maturzystów ogłosili pan Dyrektor Zaremba, w zastępstwie Komitetu Rodzicielskiego. Pan Leśny, oraz pan pr. Młyński. Od nas pożegnał maturzystów prezes naszej organizacji K. Popowski.

Po południu odbył się wieczór pożegnalny, na który złożyły się: przemówienia, gry i zabawy nad stawem i kolacja.

3 września. Dziś po dwumiesięcznych wakacjach odpoczęci i silni powróciliśmy do szkoły. Pracę poprzedziła uroczysta msza św. w kościele Farnym.

15 września. Od dzisiaj rozpoczął się „Tydzień Dziecka“, to też dla naszej ćwiczeniówki popołudniu urządzono gry i zabawy. Koledzy nasi przygrywali dzieciom, które bawiły się wesoło i swobodnie. Po zabawie, przybrane w bajeczne kwiaty i liście, strojnie przedelfowały dzieci przez park i udały się na podwieczorek.

18 września. Obchodzimy dziś wielkie święto, bo do Białegostoku na kilka godzin przyjeżdża Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polski. Wszyscy wyruszyliśmy o godz. 11 rano na miasto. Od stacji aż do gmachu Województwa utworzył się szpaler z młodzieży szkolnej i wszelkich instytucji Miasto wyglądało odświętnie. Wszystkie twarze wyraziły radość i uroczystość chwili.

O godz. 12 przyjechał Pan Prezydent i wolno, witany entuzjastycznie, przejechał przez miasto.

O godzinie 3 żegnaliśmy P. Prezydenta, który wyjechał na dalszy objazd po Kresach.



Odpowiedzi Redakcji:

„Wiosenna szaruga“. Nieaktualny.

„Witaj jutrzeńko majowa“. Z takimi powitaniami należałoby zaczekać do roku przyszłego.

„Hej, wakacje już minęły“. Wiersz dziecinny, Nie drukujemy.

„Dziadówka“. Odłożony do następnego numeru.

